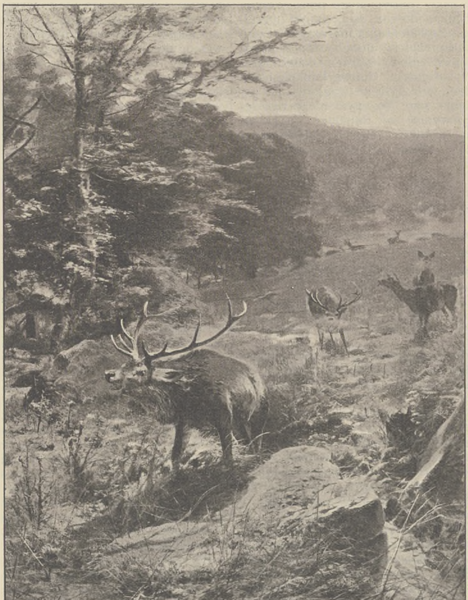


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 109

№ 19. | Warszawa, 18 września (1 października) 1908 r. | Rok V.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Na ryku.

Z tegorocznych polowań.

Posiadam wysokiej rasy młodego, irlandzkiego Settera*), który skończył właśnie rok, a więc potrzeba było koniecznie zacząć go układać w polu. Jak wiadomo, u nas dubeltów niema, a do czasu kuropatwiego polowania pozostawało jeszcze parę miesięcy; tymczasem pies mój, będąc ognistego temperamentu, zaczął mi się już bałamucić, gdyż mając w blizkiem sąsiedztwie wiejskie kundle, wprawne w tropienie zwierzyny, wymykał się z niemi na pola, aby zadowolić wrodzoną namiętność myśliwską, za co naturalnie odbierał dość surowe monita. Tresury pokojowej mój „Sylf“ prawie że nie ma żadnej, gdyż przyznam się, że oprócz braku czasu, nie posiadam daru, ani cierpliwości; jednego tylko go nauczyłem, a mianowicie: za podniesieniem ręki i wymówieniem: „daun“! pies kładzie się i nie rusza z miejsca. Drugą zaletą jego jest—ogromne przywiązanie do mnie, może wskutek tego, żem go nigdy nie karcił, przeciwnie, koledzy myśliwi twierdzą, że zanadto go rozpieściłem.

Otóż, posiadając takiego ognistego psa, byłem w wielkim kłopocie, co z nim począć do czasu sezonu kuropatwiego. Na szczęście wybawił mnie z tego mój dobry znajomy, P. Holder-Egger, administrator dóbr Stepańskich na Polesiu Wołyńskiem, który nadzwyczaj miłym i uprzejmym swym listem zaprosił mnie na kilka tygodni do Stepania na dubelty, komunikując, że w tym roku bardzo dużo błotnej zwierzyny. Znam dobrze tamte okolice, gdyż dzięki uprzejmości p. Holder-Eggera polowałem tam nieraz, na wiosnę na głuszce, a latem na cietrzewie i dubelty. Tych ostatnich nigdy nie było dużo, zaledwie przez sezon dubelci od 20 do 50 sztuk zabijałem. Ucieszyłem się ogromnie tem zaproszeniem, nie tyle ze względu na polowanie, co na układanie psa; bo czyż może być lepsze pole dla młodego wyżła, jak dubelcie? Zabrałem więc moc amunicyi i w dniu 17 lipca wsiadłem na kolej, w sobotę 18 lipca byłem już w Stepaniu, a na drugi dzień nie bacząc, że to niedziela, po obiedzie przyjechałem nad Horyń na błota.

Wybaczą mi czytelnicy moi, że odstąpię nieco od przedmiotu i opiszę pierwszy debiut mojego „Sylfa“, — który o żadnej zwierzynie nie miał pojęcia, a nawet i strzału nie rozumiał, bo go prawie nigdy nie słyszał. Gdy stanąłem na miejscu w towarzystwie starego myśliwego, podleśnego, p. D., a także gajowego, który miał nosić moją amunicyę, uczepiłem psu do obroży lekki sznurek około 10 łokci; w tym celu, gdy pies stanie, gajowy miał powiedziane podbiedz, przetrzymać za koniec sznurka i nie pozwolić unieść się psu w razie zerwania się zwierzyny. Skoro tylko puściłem psa i kazałem mu szukać, popędził szalonym galopem, jak wicher, tak, że p. D. radził uczepić o wiele dłuższy sznur, aby go można było prowadzić krótko, gdyż inaczej wszystko porozpędza; ale po kilku szybkich, jak błyskawica, zwrotach, wyciągnął łeb, przeszedł z galopa w kłus coraz wolniejszy i zaczął się ściągać; świsnąłem, obejrzał się na mnie; wtedy podniosłem rękę, stanął; tak stał, póki śmy nie doszli do niego, co trwało dość długo, gdyż pies był daleko, a teren nie bardzo wygodny do chodzenia. Gdy przyszedł, pogłaskałem go; rozkaz: pójdź dalej! pies stoi, a wszystkie muskuły w nim drżą i w oczach ogień płonie, nareszcie zaczyna prowadzić; idę za psem ciągle, wyczekując zerwania się dubelta; naprożno, pies robi zwroty, to w lewo, to w prawo, zaczyna węszyć po ziemi, egzaminując tropy, ja się niecierpliwię, chcę psa odwołać, sądząc, że to chruściel; nareszcie pies robi kilka szybkich zygzaków i jeszcze jakieś półkole i znów staje, jak wryty; podchodzę... wtem zrywa się dubelt; rozkaz „daun!“ pies leży, strzał, dubelt pada; zmieniłem ładunek, wtedy pozwalam psu wstać, podprowadzam do zabitego dubelta, którego pies w dużej trawie natychmiast odnajduje, ale go w pysk nie bierze; dałem mu go obwąchać, pochwaliłem psa i znów go puściłem, aby szukał. Teraz zaczął już szukać uważniej, chociaż także w pełnym galopie, a po paru minutach znów stanął, ta sama manipulacya, co i przedtem, z tą tylko różnicą, że gdy dubelt się zerwał, pies bez rozkazu natychmiast się położył; zabiłem i tego. Niedługo to samo z trzecim dubeltem, który się zerwał z pod stójki bardzo daleko (wyciekł); zabiłem go przeszło o 60 kroków, a gdyśmy przyszli w to miejsce, gdzie dubelt spadł, w żaden sposób ani my,

*) Był w tym roku zapisany na II-gą Warszawską wystawę psów, lecz wskutek choroby (nosaciżny) z wielkim moim żalem (a bez przesady) i szkodą dla samej wystawy, nie mógł być eksponowanym.

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

(*Ciąg dalszy.*)

— Cóż, Antoni, długo jeszcze?—zapytałem furmana, pewien, że mi odpowie, iż za lasem już zaraz.

— Wiorst piętnaście będzie, pan — odpowiedział z flegmą.

No, dziwne tu wiorsty, myślałem, kiedy milę trzeba jechać półtorej godziny.

— Czy na południe zajedziemy?

— Ha, może i zajedziemy, pan — zakończył, nie mając widocznie ochoty do rozmowy, nawpół śpiący Antoni. Swoją drogą prosiłem go sam, żeby zwolnił, bo zbite podróżą, wagonem i bryczką, kości bolały mnie na tych rzucających korzeniach okrutnie.

Zresztą droga przez las była w całem znaczeniu tego słowa przyjemną. Chłodno było, zielono, pachnąco, po drzewach roiło się ptakami, cieszącemi się, jak ja, tym cudnym rankiem letnim. Inne lasy, które zwiedzałem później, były przeciwnie zupełnie martwe i milczące i w żadnym nie widziałem tyle rozmaitych ptaków, co wtedy. Niestety, nie umiałem czytać w tej wspaniałej księdze przyrody, otwartej szeroko przede mną, i myślałem raz jeden więcej, czy nie użyteczniej byłoby umieć zdawać sobie sprawę z tego, co żyje i otacza nas, niż mieć to poczucie, że dziesięć lat, strawionych w gimnazyum, nie pozostawiło nam nic, oprócz imion autorów, nieżyjących od wieków.

Fauna była tu odmienną, dużo ptaków było mi nieznanych zupełnie. Pierwszy raz widziałem tu dużego dzięcioła czarnego, który w Królestwie należy do rzadkości, a na Litwie spotyka się stosunkowo często. Pytałem Antoniego o nazwiska nieznanych mi ptaków, ale niestety, niektóre tylko pospolitsze, umiał nazwać i to w gminnem narzeczu.

Z lasu wyjechaliśmy na łąkę, przez którą rzucona była długa grobla. Pomimo, że to była połowa lipca, pomimo, że trawa była na podziw bujna, łąka nie była nawet ściętą. Tą łąką wjechaliśmy znowu na pole piasku, minęliśmy kilka wsi i zaścianków, zamkniętych kołowrotami i bramą—nakoniec dobrze w południe zajechaliśmy przed stary dwór w S.

Na ganku przywitała nas cała zgraja psów gończych i ogarów z takim zajadłym hałasem i naszczekiwaniem, że obawiając się o Black'a i o własne łydki, nie śmiałem zejść z wózka. Na hałas jednak wyszedł mój kolega, psy odpędził i przywitawszy mnie serdecznie, prowadził do stołu...

Obiad składał się z potraw czysto miejscowych; więc zaczęliśmy od starki, pamiętającej jeszcze dziada gospodarza, którą zagryźliśmy kumpią, w jałowcu wędzoną. Potem szedł chłodnik, kołduny, a skończyliśmy kisielem ze śmietaną. Menu tego obiadu było dowodem uprzejmości ze strony gospodarza, który wie-

ani pies, odnaleźć go nie mogliśmy, były duże trawy i kępy, więc przepadł. (Później, polując na trzeci dzień w tem samem miejscu, „Sylf" go odnalazł zupełnie już zepsutego). Wtedy gajowy poleszuk powiedział: „Cicho sobaku ne treba za wierowku derżaty, łutsze jak Pan strelat, ja pobiżu w ce mijsce, szczoby dubelt ne propaw", miał racyę, później nietylko za sznurek go nie trzymano przy stójce, ale zupełnie odczepiono, gdyż mu tylko przeszkadzał, plącząc i zaczepiając się o różne przeszkody. W ten sposób zabiłem w tym dniu 6 dubeltów i kszyka — wszystkie doskonale wystawione i doprowadzone, ale żaden nie dotrzymał, wszystkie wyciekały.

Dubeltów w tym roku w Stepaniu, nad Horyniem, było wyjątkowo dużo; w przeszłym roku prawie ich nie było, a jak mi mówiono, zawsze tak bywa, gdy w jednym roku niema, to w następnym bywa ich dosyć. Dubelty trzymały się miejsc suchszych, najwięcej było na łąkach prawie suchych, na błotach tak zwanych dubelcich mniej, np. na Kosmaczewskiem, sławnem błocie, na którem niegdyś bito po kilkaset sztuk, w tym roku znalazłem tylko jednego dubelta. Przyczyną—mokre lato; wskutek zalania wodą niższych miejsc, musiały opuścić swoje ulubione błota i przenieść się na żerowiska w suchsze miejscowości.

Polując przez kilka tygodni, o ile deszcze nie przeszkadzały, zabiłem: 128 dubeltów, 7 bekasów, 1 młodą słonkę, 6 cietrzewi i 1 młodego głuszca. Cietrzewi w tym roku było dużo, a dlatego miałem tak mały rezultat zabitych, że zacząłem polować na nie dość późno, bo dopiero 10 sierpnia, a ponieważ wskutek wczesnej wiosny i lęgi były wczesne, więc cietrzewie prawie wszystkie były, jak stare, bardzo bystre, przed psem nie dotrzymywały, a dla psa gorącego i w pierwszem polu, nie jest to odpowiednia zwierzyna, pies tylko się bałamuci, to też nie byłem więcej nad 3 razy na cietrzewiach i głuszcach. Ale i dubelcie polowanie nie było dobrą szkołą (o co mi najwięcej chodziło) dla mego wyżła, pomimo wielkiej ich obfitości, gdybym mniej pudłował, a szczególniej gdyby mi chodziło tylko o rezultat zabitej zwierzyny, a nie o układanie psa, mógłbym ich więcej nabić.

Co do pożytku układania młodego psa na dubeltach, zostałem rozczarowany, gdyż bardzo rzadko mi się trafiało, gdy pies stanie, by dubelt dosiedział; przeciwnie, każdy przed psem wyciekał gorzej, aniżeli chruściel, tak, że mój piesek nauczył się za nim łazić i dolnym węchem tropy śledzić; a ma wiatr znakomity, co niejednokrotnie stwierdziłem: nieraz stawał mi do kszyków, (które wcale nie dotrzymują i zrywają się razem po kilka sztuk) na niemożliwie dalekie mety, nieraz o 100 kroków. Wskutek tego, że po stójce do każdego dubelta musiał pies doprowadzać, nauczył się pewnej nieostrożności, np. pies chodzi ostro i daleko, naraz staje, pomimo mego rozkazu, którego zapewne nie słyszy—waruj!, posuwa się i bardzo często dubelt zrywa się, wtedy pies, czując swą winę, kładzie się i zawstydzony, czeka. Przychodzę do psa, zaczynam go wstydzić, on słucha pokornie i leży, tymczasem gajowy „Juchym", który ma wzrok sokoli, widział, gdzie dubelt zapadł. Bierzemy psa i idziemy w to miejsce; pies, zwęszywszy trop, nie chce szukać, ale robi koła i różne zygzaki i staje zupełnie w innym kierunku, o jakich 150—200 kroków od miejsca, gdzie dubelt zapadł. Podchodzę i strzelam do tego samego dubelta, co go szukamy, a który do tego czasu zdążył tak daleko wyciec. Na moją uwagę, dla czego dubelty tak wyciekają? odpowiada mi Juchym: „Ciomu wse wynny bużki (bociany), wony wse lito polujut na dubelty".

Czułajewski.

(D. c. n.)

Solidarność zwierząt.

Niezmiernie pouczające i ciekawe można robić spostrzeżenia nad solidarnością zwierząt, a obserwacye w tym kierunku doprowadzają nieraz do zadziwiających odkryć.

Zwierzęta, należące do jednego gatunku i żyjące w gromadach, umieją w razie potrzeby stanąć w obronie swojej rzeczy i wspólnemi siłami bronić się przed mocniejszym nieprzyjacielem.

I tak jeden z przyrodników zauważył, że gdy krogulec, niemający nawet żadnych zbrodniczych zamiarów, zerwał się nagle z drzewa, stadko dzikich gołębi otoczyło go, i pozostając w pewnej odległości, szybowało za nim nieustannie, a krogulec bez oporu

---

dząc, że kocham się we wszystkiem, co charakterystyczną, miejscową nosi cechę, czysto litewskim chciał mię ugościć obiadem...

Po obiedzie, przy kosmopolitycznej kawie i zamorskich likierach, rozmowa zeszła na polowanie, jako przedmiot, najwięcej nas w danej chwili zajmujący. Wszyscy jednogłośnie potwierdzili, że zwierzyny dużo, bo lęgi były dobre i wiosna pomyślna. Mój kolega chciał, żebym odpoczął po podróży jeden dzień, lecz protestowałem przeciwko temu z całej siły, nie chcąc tracić drogocennego czasu tem bardziej, że dłużej, niż pięć dni, nie mogłem zostać. Postanowiliśmy zatem jechać tego samego dnia i chodziło tylko o wybór miejsca.

Na radzie wojennej, do której wezwanym został i stary Jan, postanowiono wyprawę do Wodziszek, małego zaścianka, utopionego wśród lasów, odległego od S. o piętnaście wiorst, litewskich naturalnie, co do których nie robiłem sobie złudzeń.

Rozeszliśmy się po obiedzie, ja spać, a moi towarzysze przygotować wszystko na kilkodniowy pobyt w puszczy, gdzie wyżyć potrzeba było zabranemi z domu, zapasami, gdyż oprócz wody, drzewa i nic zawsze mleka, dostać nie można było nic. Zabieraliśmy więc samowar, kosz, pełen rozmaitych wędlin, serów, zimnego mięsiwa i t. p. i drugi mniejszy koszyk, z którego wyglądały szyjki cześć budzących gąsiorków. Jechał nawet worek z ospą owsianą dla naszej psiarni, strawą, na którą popsuty miejską kuchnią, Black godził się dopiero, ostateczną przyciśnięty potrzebą.

Wstałem dobrze z wieczora, wypoczęty i gotów do drogi. Słońce było już nisko, ruszać mieliśmy zaraz. Przed dworem stała już długa, łubiana bryka, wyładowana z czubem, bo przezorny Jan zabierał nawet koce do leśnych noclegów. Dokoła bryki kręciły się miejscowe wyżły, niespokojnie patrząc w oczy Janowi, jakby wyrozumieć chciały, co znaczą te przygotowania i czy one także w nich wezmą udział?

Z trudem usadowiliśmy się we trzech z psami na trzeszczących koszach, nie wiedząc, co robić z nogami, na które już nie było miejsca. Ale najgorzej ruszyć, później już się jedzie i dojeżdża do celu. Początek podróży był opłakany, bo psy nie zrobiwszy wczesnej znajomości, kręciły się i gryzły ustawicznie, depcąc nas po nogach. Jechaliśmy ciągle prawie lasem, więc z chwilą, kiedy zmrok zapadł zupełny, bryczka podskakiwać zaczęła po pieńkach, których w ciemności niepodobna było widzieć i wymijać. Nie omyliły mię przeczucia co do długości zapowiedzianych piętnastu wiorst. Podobnie jak z rana, rozciągały się one straszliwie i straciłem w końcu nadzieję, czy wogóle dojedziemy. Swoją drogą nie nudziło mi się, jak rankiem, bo wspomnień mieliśmy wspólnych dużo i rozmowa szła ożywiona. Od czasu do czasu w głuchym borze zaświecił szmat uprawnej ziemi, zaszczekał z daleka pies na zaścianku i znów ogarniał nas chłodny las. Czasem

oddalił się. Ten sam przyrodnik obserwował sójki, gnębiące kunę. Ile razy kuna podskoczyła w górę, pragnąc pochwycić jedną z atakujących sójek, nacierały wszystkie razem, i w końcu wycieńczona, ukryła się w wysokiej trawie.

Pewien sławny ornitolog i myśliwy, był na brzegach Calvados świadkiem następującej sceny, która dowodzi, że zwierzęta słabsze, złączone w jedną gromadę, nawet napadają i tryumfują, skoro im się powiedzie wyparować zwykle dla nich niebezpiecznego, gnębiciela. Jastrząb, dużego gatunku, i kilkanaście wron siedziały razem. Nagle zrywa się drapieżnik, czynią to samo i wrony, i równocześnie jakby na dany znak, zrywają się przerażone mewy i różne ptactwo morskie, podnoszą wrzask i krzyczą na alarm, wskutek czego przylatują całe chmary drobnego ptactwa na pomoc, tworząc koło czarnej plamy wron białą, pierzastą obwódkę. Biedny jastrząb długo różnych podstępów musiał używać, zanim wydobył się z opałów, przez nacierające chmary ptactwa różnorodnego mu zadawanych.

W Anglii inny badacz natury spostrzegł kukułkę, która, chcąc swym zwyczajem znieść jajko do cudzego gniazda, szukała takiego w zaroślach dziko rosnącego, bluszczu. Wtem zjawia się samiczka kosa i odkrywszy niecne zamiary kukułki, sprowadza samczyka, i zaczynają ptasim językiem obojgu tłómaczyć niestosowność takiego kroku. Na taki gwałt zlatuje jeszcze para kosów i wspólnemi siłami odpędzają kukułkę. Nazajutrz świadek tej sprawy ptasiej spostrzegł, że obiedwie pary kosów posiadały własne gniazdka w krzakach bluszczu, ze zniesionemi własnemi jajkami, i nie dopuściły intruza do rodziny.

Ciekawy również epizod zauważono w Puy de Dôme. W nieobecności jaskółki, wróbel zajął jej miejsce w opuszczonem gniazdku. Na widok ten podniesiono alarm w jaskółczym rodzie. Trzy jaskółki zaczęły pełnić straż koło gniazdka, a dwadzieścia innych zabrało się do roboty. W niedługim czasie, znosząc skrzętnie błoto i słomki, zamurowały przybysza, a potem gniazdo zrzuciły.

Jaskółki szczególnie odznaczają się wielką solidarnością. Znamienny fakt podaje czasopismo „La Nature“ w r. 1899. Para jaskółek upatrzyła sobie miejsce na siedlisko pod dachem pewnego domu i zaczęła lepić gniazdko. Właściciel domu spostrzegłszy to, kazał zniszczyć rozpoczętą robotę. Przez dni kilka powtarzała się ta sama historya, jaskółki wytrwale rozpoczynały budowę, pan domu zaś burzył robotę. Pewnego dnia gospodarz wyjechał do miasta, gdzie go sprawy różne zatrzymały przez dzień cały. Powróciwszy, zdziwił się niezwykle posuniętą robotą jaskółek, które swoje gniazdo miały prawie na ukończeniu. Wobec tej wytrwałości ptaków, zmiękł upór człowieka, i zostawił gniazdo nienaruszone. Nazajutrz przekonał się, co było powodem tak prędkiego wykończenia roboty. Cała chmara jaskółek znosiła błoto, źdźbła trawy, wodę, i pomagały w budowie.

Niektóre zwierzęta ssące posiadają ten sam instynkt solidarności, lecz niestety najczęściej stosują go nie we własnej obronie, lecz w chęci grabieży, napadu.

Szakale, wilki, polują z góry obmyślanym planem, wybierają wodza między sobą i urządzają formalne wyprawy na zdobycz. W Ceylonie pułkownik Tennent obserwował kilkakrotnie przebiegłość szakali. Na północ tej wyspy znane są wydmy piaszczyste, zarosłe tu i owdzie krzakami. Zarośla te podszyte są bujną i silną roślinnością i stanowią nory dla zajęcy i danieli. Wiedzą o tem dobrze szakale i robią obławy. Jeden zostaje na straży, drugi pilnuje dróżki, którą wpadła zwierzyna, inne zaś otaczają krzaki, zaczynają wyć, szczekać i piszczeć. Daniel, przerażony tą piekielną wrzawą, ucieka tą samą dróżką, którą bezpiecznie przeszedł do zarośli, i pada zwykle ofiarą podstępu szakali.

W Australii całe bandy papug kakadu, białych, urządzają wyprawy na pola, które zamierzają zniszczyć. Najwytrawniejsze w tych sprawach, siadają na najwyższych drzewach i robią przegląd okolicy. Spostrzeżenia swe przesyłają drugiej partyi, także na drzewach w oddaleniu siedzącej. Ta dopiero objaśnia resztę bandy. Jeżeli obserwacye są pomyślne i okolice bezpieczne, spuszczają się na pola, i następuje zniszczenie zasiewów lub owoców.

---

mijaliśmy mniejsze pólka, wyrąbane w lesie, t. z. „pasieki“, posiane gryką albo owsem.

Koło dziesiątej, czy jedenastej, wjechaliśmy na większe pole, na którem z daleka błyszczało światełko pod lasem. Konie parsknęły, czując blizką stajnię, zaszczekały psy na obcych—byliśmy u celu. Bryczka podskoczyła jeszcze razy kilka na pniakach i wjechaliśmy do zaścianku. Brata szlachcica, na którego gościnność i dach liczyliśmy, nie było w domu, założyżyliśmy więc obóz pod ścianą lasu, przy szopie z sianem, w której umieszczone były nasze konie. W izbie gorąco było zresztą nie do wytrzymania i roje much. Drzewa nie brakowało, więc buchnął za chwilę napalony przez Jana, ogień, a z pękatego kosza poczęły się sypać, jak z rogu obfitości: drób na zimno, wędliny, sery i t. d. Za chwilę samowar był gotów; wychyliwszy więc po tęgim kielichu starki, siedliśmy do kolacyi.

Te wieczerze przy ognisku, będąc zarazem dobrze zasłużonym wypoczynkiem po całodziennych trudach, zapisały mi się głęboko w pamięci i pozostaną jednem z najmilszych wspomnień tego krótkiego leśnego życia. Kiedy ogień rozświecił stare jodły, zwieszające brodate gałęzie nad naszemi głowami, wyglądało nasze koczowisko, jak obóz cyganów, albo zbójców z operetki. Pół siedząc, pół leżąc, rozkładaliśmy się z psami dokoło ognia, a kiedy minęło pierwsze zmęczenie i głód był zaspokojony, słuchaliśmy w późną noc opowiadań starego Jana.

Naturalnie w takiem otoczeniu i towarzystwie nie można było mówić o niczem, jak o polowaniu. Sypały się wiec jak z rękawa, historye i anegdotki. Mnie przypadała mało zaszczytna, ale wygodna rola słuchacza, bo nie śmiałem zabierać głosu tam, gdzie co chwila mówiono o łosiach, rysiach i niedźwiedziach. Nie dawniej jak ostatniej zimy, stary Jan, którego imię powtarzać będę musiał coraz częściej, zabił dwa rysie, otropiwszy je na ponowie i zapędziwszy gończemi na drzewo...

„Pan Jan“ jest to jeden z tych typów, których synowie nasi znać już nie będą, bo giną razem z puszczami i grubym zwierzem, starte kulturą z oblicza ziemi. Syn zaściankowego szlachcica, rodzony syn tych puszcz, które kocha i zna na pamięć. Po ojcu zostało mu kilka włók spuścizny i mały folwarczek. Nie długo jednak cieszył się swym dobytkiem, bo stale przekładał pobyt w lesie nad gospodarkę, a fuzyę częściej miewał w ręku, niż pług albo kosę. Źli ludzie twierdzili, ale któż bo nie ma niechętnych! że do szynku zaglądał pan Jan za często, święcąc w dobranem gronie myśliwskie tryumfy. Słowem, poszła ojcowizna, a Jan wstąpił w służbę do ojca mego kolegi w charakterze trochę strzelca, trochę sługi, a trochę przyjaciela, bo i nieboszczyk namiętnym był myśliwym.

(D. c. n.)

Prochy małodymne

przez

Władysława Słonczyńskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Stosował on wszelkie możliwe przybitki, przy najrozmaitszych sposobach nabijania; używał ładunków krajowych i zagranicznych, robiąc z każdym z gatunków oddzielne i wszechstronne próby. Dla wszelkich prób w celu określenia zależności początkowych szybkości śrótu i ciśnień gazów prochowych od wielkości ładunków prochu, rozkładu ciśnień gazów po kanale lufy, wpływu ścisłości nabijania na szybkości i ciśnienia, używał Brouns tylko czerwonych gilz Torbeka z kapiszonem Gevelot.

Uważam za właściwe zrobić kilka uwag o sposobie nabijania gilz prochem małodymnym.

Nabój ładunku prochu powinien być koniecznie ważony, a wskazówki, udzielone w przeciwnym duchu przez fabrykantów prochu, są blagą kupiecką, ale blagą szkodliwą, gdyż strzał albo będzie za słaby, albo może być niebezpieczny. Specyalne badania wykazały, że mierząc proch małodymny jedną i tą samą miarką, można wziąć np. od 0,15 do 0,2 za wiele lub za mało, co zależy od sposobu zasypywania i utrzęsienia miarki. Mierzenie prochów małodymnych zwyczajną miarką do czarnego prochu, chociaż i może być dopuszczalne przy prochach o wielkiej ścisłości (prochy „Liszew", „Sokół") bez obawy o całość broni, to jednak nie powinno mieć miejsca dlatego, że wahania, o których powyżej mówiłem, spowodują wielką rozmaitość w wynikach strzałów, a to szczególnie da się uczuć przy broniach, dokładnie zrobionych i wypróbowanych, dających doskonały strzał danemi ładunkami przy pewnym *ścisłym* stosunku wag śrótu i prochu.

Na proch trzeba kłaść koniecznie suchą, cienką, filcową przybitkę (Eley'a „Field", stroną lila do prochu) odpowiedniego kalibru, na którą idzie właściwie uszczelniająca, prochowa przybitka filcowa, sztywniona i tłuszczona, wysokości około 1 centymetra, ($^3/_8$ cala ang.=0,95 cent.) średnicy od *minimum* 1 do *maximum* 2 mm, większej od największej średnicy lufy (przed kamerą, lub w środku lufy), co zależy od stopnia usztywnienia przybitki. Przybitkę przy nabijaniu małodymnego prochu o wielkiej ścisłości należy wtłoczyć *silnym naciskiem ręki*, czego wymaga ten proch dla doskonałego zapalenia się, — gdy natomiast słabe dosunięcie przybitki wywołuje zaciągnięcie strzału (long feu).

Niżej zobaczymy, że stopień ugniecenia prochu o wielkiej ścisłości (Liszew, Sokół) nie okazuje prawie żadnego wpływu na szybkość śrótu, ani na ciśnienia, jakie rozwijają gazy prochowe przy spaleniu się. Brouns zwraca uwagę na to, że stempelek, wciskający przybitkę prochową w ładunek, powinien być koniecznie tej samej, co gilza, średnicy, a to dlatego, aby (co jest najważniejsze) brzegi przybitki były doskonale dociśnięte, nie zaś głównie środek, jak to ma miejsce przy maszynkach Barklay'a.

Że prochy ziarniste (Schultze, E. C., Walsrode, Fasan etc.) nie znoszą uciskania, a tembardziej rozgniatania, pisałem wyżej, podając charakterystykę prochów tej kategoryi. Gdyby wskutek silnego przybicia prochu pozostawało zadużo miejsca w gilzie, można na tłuszczoną przybitkę prochową położyć jeszcze jedną cienką, filcową, niesztywnioną i nietłuszczoną, średnicy właściwej kalibrowi, która to przybitka żadnego po za tem nie ma znaczenia i podając rezultaty badań nad prochami „Liszew" i „Sokół", będziemy mieli na uwadze szybkości, wypracowane przez Brounsa w odległości 12,5 metra od wylotu.

Szybkości śrótu, którym proch badano, wynosiły:

w odległości 12,5 m.	$V_{12 \cdot 5} = 272,7$	metrów na sekundę.
„ „ 7,5 „	$V_{7 \cdot 5} = 301,7$	
„ „ 5 „	$V_{5} = 335$	
u wylotu lufy	$V_{0} = 385$	

Badania prowadzono jedynie śrótem 6* „Chilled Shot", jako najbardziej zbliżonym do normalnego śrótu kuropatwianego (Huhnerschrot o średnicy 2,5 mm), którego to średnica wynosi w przecięciu d = 2,53 mm.

IV.

Ładunek prochu gen. A. A. Liszewa dla broni 12° kalibru.

Ładunek prochu Liszewa dla dobrych broni 12 kalibru, wagi $7^1/_2$—8 funtów (3,10—3,20 kilo), opierając się na normalnym ładunku śrótu *34,5 g* wynosić powinien:

1,95 gramma,

a wielkość ta usprawiedliwia się nietylko wskazanemi formułami, ale i próbami, wszechstronnie podjętemi. Ładunek ten został dobrany tak, żeby szybkość początkowa wynosiła obowiązkowe:

$V_5 = 335$ metrów,

czyli konieczną ostrość, wskazaną przez naukę, ciśnienia zaś gazów prochowych wynosiły maksymalnie:

P = 480 atmosfer,

czyli *nie przenosiły* ciśnień gazów prochu czarnego średniej grubości (ziarnistość Nr. 4), odpowiadającego znanemu u nas prochowi fabryki „Niedźwiedź" nazywanemu „Cesarskim Cienkim". Niskie te ciśnienia dają nam pewność i zaufanie do prochu Liszewa, którego z zupełnym spokojem używać można do broni średniego nawet wykończenia, ponieważ nauka wskazuje, że dla broni, dobrze zrobionej, wagi około 8-iu funtów, ciśnienia do 600 atmosfer nie mogą być niebezpieczne.

Przeglądając serye tablic wystrzelonych prochem Liszewa, widzimy, że różnice w szybkościach wynosiły najwyżej 5 metrów, co dowodzi nadzwyczajnej jednostajności działania prochu. Średnie ciśnienia gazów doszły do 500 atmosfer jedynie przy użyciu niestosowych w praktyce u nas ładunków. Ciśnienia podnosiły się zawsze cokolwiek przy strzelaniu grubszemi śrótami. I nic dziwnego: powiększenie to zależne jest od więcej trudnego przejścia śrótu z kamery do lufy. Przy cienkim śrócie oddzielne śróciny łatwiej następują jedna za drugą, nie wywołując zatrzymania się w ruchu całej masy ładunku, wskutek czego i ciśnienia otrzymują się mniejsze. Zwiększenie ciśnień gazów prochowych przy strzelaniu grubym śrótem, może być objaśnione i tą okolicznością, że słabszy śrót miększy jest od cieńszego, więc tarcie jego w czasie biegu jest większe, co też i wywołuje zwiększenie się ciśnień.

Zwróćmy teraz uwagę na różne sposoby nabijania i na odpowiednie zachowanie się prochu Liszewa. Wbrew twierdzeniu wielu myśliwych, zakręcanie gilz nie wywołuje zmian ani w szybkościach, ani w ciśnieniach.

Na zakręcenie powinno się zostawiać około 5-iu milimetrów przy użyciu jakiegokolwiek prochu, a względy oszczędności nie nas tutaj nie obchodzą. Chcąc strzelać po kilka razy z jednej gilzy, można jej nie zakręcać, a zalewać brzegi woskiem z doskonałym skutkiem. (*D. c. n.)*

Zapasanie się psów i sposoby obchudzania.

Nie ulega kwestyi, że nauka leczenia ludzi dalej postąpiła od wiedzy leczenia zwierząt, gdyż lekarz chorób ludzkich rozporządza większym zasobem środków leczniczych, już bezwględnie wypróbowanych i skutecznych. Dla weterynarza zaś podstawą leczenia psich chorób jest gruntowne doświadczenie w rozpoznawaniu choroby.

Większe miasta za granicą posiadają już weterynarzy, specyalnie zajmujących się leczeniem bydła, specyalistów od koni i nakoniec trzecią kategoryę — oddających się specyalnie chorobom psów. W niedalekiej przyszłości można się spodziewać, że jak w medycynie przybywa coraz więcej specyalności co do każdego organu i części ciała, i weterynarze w niedługim czasie zaczną się specyalizować co do poszczególnych chorób zwierząt.

Często jeszcze spotykamy się, szczególnie w Niemczech, w fachowych pismach z błędnem i niedowierzającem pojęciem o wiedzy weterynaryjnej. Niedowierzanie to o tyle może mieć podstawę, że weterynarze w klinikach nie mają tak obfitego materyału do badania, jak lekarze; w każdym razie i nauka weterynaryi postępuje; coraz więcej przybywa wybitnych zdolności i pełnych doświadczanie ludzi z gruntowną znajomością swego fachu, którzy niejednokrotnie ratują nasz dobytek, czy też towarzyszy w ulubionym sporcie polowania ocalają od niechybnej śmierci. Na orzeczeniu tych fachowców trzeba polegać i mieć wiarę, a dla pewniejszego skonstatowania choroby dużą pomocą będzie szczegółowy opis zachowania się zwierzęcia przed chorobą ze strony właściciela zwierzęcia, często już dość rozległe mającego doświadczenie. W Niemczech dużą sławę zdobyli między innymi: Diffine, Z. Hoffman i O. G. Müller.

Tycie człowieka i zapasanie się zwierząt, na które wogóle dość często nie zwraca się uwagi, uważać należy za stan normalny. Człowiek, który nienormalne zaczyna przybierać kształty zaokrąglenia, a rozporządzający środkami materyalnemi, korzysta z wytrawnego już doświadczenia lekarza i jedzie do Karlsbadu lub Marienbadu, a kuracya polegająca na pochłonięciu większej ilości wody przeczyszczającej i ograniczaniu pokarmów stałych, doprowadza go do równowagi. Biedniejsza klasa wprost użyciem pigułek marienbadzkich lub dawek soli karlsbadzkiej dość skutecznie sobie dopomaga. Nawet istnieją specyalne metody obchudzania człowieka i kliniki, jako to D-ra Schweinningera i Oertla.

U psów skłonność do tycia pojawia się częściej, niż wogóle możnaby przypuszczać! Szczególną skłonność okazują różne gatunki psów małego wzrostu, nietylko znany leniwy mopsik, ulubieniec *par excellence* doletnich panien, lecz i wszelkie odmiany pinczerów. Nawet zdarzają się wypadki zapasania się u włoskich charcików, które wprost przybierają figurę niekształtnej masy. Następnie wymienić należy buldogi, a później psy myśliwskie wszelkich ras. Przyczynę tego zapasania się należy szukać w fałszywem żywieniu i w braku ruchu. Naturalnie starsze psy są skłonniejsze i częściej bywają zapaszone, co się daje wytłumaczyć powolnem gromadzeniem się nadmiaru tłuszczu.

W dawniejszych czasach kastrowano psy, raz, że było to poniekąd w modzie, a powtóre chciano przez to wyrobić u psów przywiązanie i wytworzyć domatora. Eksperymenty te dały jednakowoż wprost ujemny rezultat; pies wykastrowany stawał się smutny, ponury i gnuśny, a nawet mniej pojętny, a mała chęć do ruchu potęgowała skłonność do tycia. Każdemu wiadomem jest, jaki pożytek wtenczas odnosi myśliwy z zapasionego psa. W sierpniu lub wrześniu polując chociażby przy umiarkowanym upale na kuropatwy, zaledwie pies godzinkę okładał, wraca do pana i skoro pan jego na chwilkę przystanie, korzysta z cienia i kładzie się, sapie i dyszy, spostrzegłszy rowek z wodą lub kałużę, w te pędy biegnie, aby się ochłodzić i dać odpoczynek zapasionemu cielsku.

Dla psów myśliwskich najlepszą metodą obchudzania jest prawidłowy trening. Naturalnie, trening ten trzeba stopniowo przeprowadzać, coraz to więcej czasu i większe przestrzenie dobierając. Jeżeli myśliwy nie ma czasu sam tego wykonać, lub czasami zajdzie jakaś przeszkoda zajęcia się samemu, należy psa powierzyć gajowemu lub innej zaufanej i wytrawnej osobie. Karmienie psa należy zmniejszyć, i pod tym względem nie raptowne czyniąc przeskoki, lecz w odstępach różnych. Bardzo praktycznym rodzajem karmy w tych wypadkach są tak zwane pierniki Spratta, gdyż zawierają dużo części odżywiających i wzmacniających, a mało substancyj, wywołujących otłuszczenie. Pies jest syty, a nie obciąża żołądka i kiszek ciężko strawnemi rzeczami.

Suki bywają skłonniejsze do zapasania się, aniżeli psy. Zapasione suki tracą zdolność płodzenia, a jeżeli jeszcze zostają zapłodnione, to rzucają najwyżej 1—2 szczeniąt, miewają mało pokarmu i często marnieją z powodu utrudnionego porodu.

Za potwierdzenie szkodliwości zapasania się może posłużyć obserwowanie suki w normalnych warunkach, t. j. umiejętnie karmionej przez doświadczonego myśliwego. Skoro jej nie zapasiemy, rok rocznie do chowamy się i większej ilości i samych zdrowych szczeniąt. Z chwilą zmiany właściciela, który ją obficie będzie karmił aż do zatycia, suka ta, pokryta tym samym psem, nie rzuci albo żadnego młodego, lub też jedną do dwóch sztuk i te nie będą muskularnie rozwinięte. Przyczynę więc łatwo odnajdziemy w otłuszczaniu jajników.

Również pies zapasiony nie przedstawia wartości dla myśliwego, traci wiatr, i zdolność zapłodnienia coraz więcej słabnie, w miarę przybywania tłuszczu.

Hodowca więc każdy powinien zwracać uwagę na materyał hodowlany nietylko ze względu na przymioty odpowiednie do polowania, jako to wiatr, apel i inne, lecz i głównie na mus kulaturę, gdyż tylko z mięśniami silnemi rodzice dadzą nam odpowiedni przychówek.

Nie można powiedzieć, aby zawsze człowiek był winien tej chorobie, gdyż jak u ludzi, tak i u psów skłonność ich tycia z czasem sama z siebie przychodzi lub bywa dziedziczną. Nawet psy, które używają dużo ruchu i umiarkowanie są karmione, podlegają tej niebezpiecznej chorobie. Natura psa, jako przeznaczenie, sama z siebie wywołuje, że tak się wyrazimy, to kalectwo.

Jak się obchodzić z psem, który zaczyna się zapasać, lub u którego już to stadyum zupełnie nastąpiło? Wprawdzie o tem już wyżej mówiliśmy, lecz jeszcze dla przestrogi dodać musimy, że raptowna kuracya niszczy je zupełnie. Bywają myśliwi, którzy tę chorobę chcą zwalczyć gwałtownemi środkami, jak to formalnem głodzeniem lub forsownem bieganiem. Nieraz zmuszają biedne ociężałe psiska do biegania za koniem, a nawet za wprawnym cyklistą. Co do karmienia, to dyeta w odstępach prowadzi do celu, ograniczając odżywianie mięsem, tłuszczami, mącznemi potrawami, a w to miejsce zwiększając dawki jarzyn. Mączne potrawy, kartofle, a szczególnie świeży chleb wywołują przeważnie to kalectwo, jarzyny zaś działają odświeżająco na cały organizm.

Regularnie więc zmieniając sposób karmienia, dbając o ruch większy i częsty, ulubieńca naszego po większej części możemy ocalić i mieć właściwy pożytek.

Istnieją już tak zwane metody radykalne do obchudzania psów; między innemi leczenie tak zwanym środkiem: „Thyreodintablette". Środek ten szybko działa, ale cały organizm cierpi na tem.

Skutecznym środkiem także są pigułki marienbadzkie, których działanie atoli jest dużo słabsze od Thyreodintablette.

Mniej działającym wprawdzie, lecz pomagającym i bezpiecznym środkiem jest sól karlsbadzka, którą należy dawać psu rano przed jedzeniem na czczo w małej dawce w wodzie. Są hodowcy, którzy opierając się na dłuższem doświadczeniu, codziennie z roku na rok do każdego jedzenia dosypują drobne dawki soli karlsbadzkiej, i psów tak karmionych, nie dopuszczają do zapasania się.

Główną zasadą każdego prawidłowego myśliwego—hodowcy powinna być dbałość w karmieniu, kontrola ścisła, a o ile skłonność psa do tycia nie będzie z natury przyrodzona, nie dopuści szlachetnego swego towarzysza do tego kalectwa.

Jak zaś tę kontrolę przeprowadzić, o sposobach i środkach pomówimy przy sposobności.

S. K.

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do Mongolii.

(Dalszy ciąg).

Pomimo, że w broń dość dobrze jestem zaopatrzony, postanowiłem wszystko na nowo przepatrzeć i może coś brakującego dokupić lub zmienić. W pierwszych więc dniach marca, wysławszy przedtem całą moją zbrojownię do Zieglera, wyruszyłem do Warszawy. Tu oprócz staruszki, śrótowej dwunastki Cockerill'a i mego marnego Mausera, dałem się skusić na kupno, co prawda drogiego, ale, jak zdaje się, bardzo praktycznego, podwójnego sztuceru Mausera z lunetą. W Warszawie dużo nam czasu zajęło przypasowywanie i przystrzeliwanie broni w świetnie urządzonej strzelnicy Zieglera, ale też za to teraz kule z naszych sztuceró w na 200 metrów nie wychodzą z dwóch kwadratowych centymetrów. Byle tylko Bozia dała do czego strzelać, mamy nadzieję, że źle nam nie pójdzie. Zakupimy trochę drobiazgów (buty, futra i t. p. mamy kupić w Moskwie), wzięliśmy ładunków po 300 sztuk do każdej broni — chyba dość będzie.

Z Warszawy wyjechałem do Mińska przed mymi kolegami na parę dni, by interesa wszelkie załatwić.

Przedtem muszę Ci powiedzieć, że w Warszawie poznałem mego trzeciego towarzysza podróży, Anglika, niejakiego mr. Devis, który bardzo mi się od pierwszego spojrzenia podobał. Człowiek to, co prawda, młody, ale górnik skończony, który dwa lata był dyrektorem kopalni złota w Afryce, lecz z powodu żółtej febry musiał ztamtąd się wynieść. Teraz jako górnik i specyalista od złota, jedzie na Syberyę, by tam szczęścia próbować, ale głównie, jak i ja, by kraj poznać i popolować.

Otóż wyjechałem z Warszawy i miałem oczekiwać w Mińsku, na przyjazd moich towarzyszów. W Mińsku załatwiwszy ostatnie sprawunki we właściwym czasie, odprowadzony przez Lolka, zjawiam się na stacyi i czekam na podróżnych. Lolek spostrzegłszy wysiadających, oświadcza im, że zachorowałem i dlatego zostaję. Widząc, jak się miny wydłużają, podchodzę i witamy się, przyczem mówią mi, że okropne mają sąsiedztwo, bo w tem samem coupé dwóch grubych, cygaro ćmiących, niemców, na których Feliks kilka już razy porywał się z kułakiem, a przynajmniej chciał ich *erfordern*. Mitygujemy go jakoś i idziemy do restauracyjnego wagonu na kolację. Tu humory znacznie się poprawiają i Lolek daje początek toastom, żegnając i życząc nam szczęśliwej drogi. Buteleczka za buteleczką tak, że nawet sztywny anglik rozruszał się i zanimeśmy się obejrzeli, już dojechaliśmy do Borysowa, gdzie Lolek musiał wysiadać.

Tak było wesoło, że zamiast do domu, zdecydował się nas odprowadzić do Moskwy, by ją nam pokazać. *In gratiam* tak ważnego ewenementu, stanęła jeszcze buteleczka i popijaliśmy coś do 3, czy 4-ej rano.

Na drugi dzień zdziwiony byłem, dojeżdżając do Moskwy, brakiem pól uprawnych, a ciągłemi lasami, wyłącznie brzozowemi. Na dworcu, pierwsze wrażenie, jakbyśmy nie do Moskwy lecz do małego, powiatowego miasteczka przyjechali. Brudno, ciemno i paskudnie. Dalsze wrażenia z miasta nie nie lepsze. Trafiliśmy na dzień postu, w którym wszelkie muzyki i widowiska zamknięte. Cóż więc pozostawało nam? Zwiedzić sławne moskiewskie restauracye i zapoznać Anglika z ruską narodową kuchnią. Pakujemy się do sławnego Ciestowa i jako *echt* ruskie potrawy komenderujemy „porosionok pod chrenom“ „kawiar“ i „ucha iz sterladej“, jemy z ogromnem namaszczeniem, ale smakuje nam średnio, a jak przyszło do rachunku, przestało smakować zupełnie, talerz bardzo średniej policzyli po 4 ruble, a za obiad wzięli 50 rubli przeszło!

No, ale co kraj to obyczaj, wogóle po Warszawie Moskwa wygląda, jakby tu byli sami milionerzy, wszystko dwa i trzy razy droższej. Wieczorem na Lolka propozycyę, wybraliśmy się trójkami do Jaru i Strelnij, ale wszystko było zamknięte. Na drugi dzień oglądaliśmy Kreml, coprawda tylko zewnątrz, bo wewnątrz nie wolno wówczas było. Imponujący to ogrom.

Ciekawy mieliśmy także widok przewożenia ikony ze Spaskich wrót do jakiegoś kupca chorego. Ogromny szereg karet, przodem duchowni i w karecie ikona błyszcząca, a za nią cały szereg grubych, brodatych, czysto kupieckich postaci kroczy poważnie, a wszystko z drogi ustępuje.

Na drugi dzień wyjechaliśmy z Moskwy kuryerem ku Syberyi. Wygodny pociąg, ale nie tak osobliwego nie ma, jak o tem piszą.

Bądź co bądź, po ośmiu dniach podróży z prawdziwą radością opuszczamy pociąg.

O samej podróży trudno coś ciekawego powiedzieć. Pierwszą klasę zajmowała komisya dla przyjęcia kolei Mandżurskiej, a druga, którą i my zajmowaliśmy, pełna była różnych urzędników, inżynierów i żon, wracających na wschód, ale że żadnej przystojnej nie było, więc i podróż dośćby nudno przeszła, gdyby na szczęście wint się nie ułożył. Graliśmy więc cały dzień i noc, aż nam obrzydło. Przez okna wyglądać się nawet nie chciało, tak krajobraz nudny, jednakowy, a jedyne ciekawe miejsce, t. j. Ural, przejeżdżaliśmy dzięki mądremu rozporządzeniu administracyi kolejowej w nocy. Tak, że wprost ze stepu Orenburskiego trafiliśmy na step, ciągnący się aż prawie do Irkucka. Gładka, monotonna płaszczyzna, gdzieniegdzie brzozowemi przerwana gaikami lub większym, lecz za to zupełnie wyrąbanym i wypalonym lasem. W Uralu śniegi ogromne, tutaj śnieg, ale czuć przybliżenie wiosny, aż dusza się rwie, by prędzej wyrwać się ze strzelbą w pole. W nocy śnią się rozmaite zwierzęta i głuszec, zda się, tokuje. Budzi się człowiek i głowę tłucze o podniesione łóżko i z ciężkiem westchnieniem przypomina sobie, że to jeszcze dni 10 prawie jechać potrzeba.

Jedna rozmaitość w drodze, to widok Ufy. Ślicznie to położone, duże miasto na górach, cudowny przedstawia widok. Dziwna rzecz w kraju takich szalonych mrozów a zarazem obfitości lasów, wszystkie domy i chaty, tak na wsi, jak i w mieście, wyglądają jakby drzewo na wagę złota tu było kupowane. Wszystko stare, walące się i, jak rzeszoto, dziurawe; jak ci ludzie żyją—zrozumieć trudno.

W Irkucku, pod przewodem Feliksa, jedziemy oglądać miasto, a przedewszystkiem broń naszą nakomorze zawizować, by z powrotem przez granicę tru-

dności nam nie robiono. Na komorze mówią nam, że broń się wizuje na ostatniej stacyi, należącej do Irkuckiego okręgu, zaraz za Bajkałem, na st. Mysowoj. Uspokojeni, jedziemy do hotelu, jedynego w Irkucku, i spożywamy wcale dobry obiad.

Irkuck ciekawe robi wrażenie. Pół wieś, pół miasto. Sklepy duże, witryny tu i owdzie wspaniałe, a obok tego ulice niebrukowane, pełne błota. Domy duże, murowane, tuż obok nich nędzne lepianki. Dziwnem trochę wydawało się widzieć tu, w głębi Syberyi, wobec mrozu, dochodzącego w nocy do 10—15° R, noszone w dzień, wiosenne kapelusze i jasne saki. Magazyny z powodu niedzieli były zamknięte, nie mogliśmy więc nic kupić i wróciliśmy wkrótce do wagonu. Moi towarzysze zostali jeszcze, by z cywilizacyą, którą tu opuszczaliśmy, ostatni raz się pożegnać. Wrócili koło 4-ej rano przed samem odejściem pociągu.

Po dwugodzinnej jeździe przybyliśmy na stacyę Bajkał nad samem jeziorem. Cudowny tu przedstawił się widok. Olbrzymia płaszczyzna lodu, na brzegu w wały spiętrzona, a dalej, jak jedna gładka tafla błyszcząca, otoczona niebotycznemi górami, silne sprawiała wrażenie. Patrząc na to olbrzymie jezioro-morze, mimowoli jakiemś poważaniem człowiek się przejmował i rozumiało się, że Buraci swój Bajkał za morze święte uważają.

Na przygotowanych trójkach rozlokowaliśmy się wszyscy i hajda przez jezioro po lodzie, wzdłuż stojących słupów telegrafu. Ciekawe jest to urządzenie. Na zimę przez Bajkał, wprost na lodzie, stawiają się słupy i przeciąga drut.

Po dusznym pociągu rozkosznie było odetchnąć mroźnem, porannem powietrzem. Małe, kudłate koniki, do dużych kuców podobne, szybko unosiły sanki; po gładkim, błyszczącym tysiącami świateł, łamiącym się lodzie, mknęły koszewy cicho, a wysokie, skaliste brzegi, porosłe ciemnemi drzewami, groźno i ciekawie zarazem, spoglądały na śmiałych podróżnych. Dwa malutkie, tonami dobrane dzwonki, pod dugą, melodyjnie jakąś tęskną dzwoniły piosenkę i mimowoli marzenia opanowują umysł, zwolna przechodząc w pół sen, w pół jawę.

Na środku Bajkału, też na lodzie, urządzono czasowy bufet z herbatą i zakąskami. W jednej chwili malutka chata zapełniła się podróżnymi. Wszędzie widać ożywione, zarumienione twarze. Ten żąda herbaty ów krzyczy, by mu prędzej bulion podawano. Jednem słowem, wieża Babel.

Po chwili dzwonki dzwonią znowu i po paru godzinach jazdy przybywamy do nowobudującej się stacyi kolei, naokoło bajkalskiej. Tu dzięki mądrej administracyi siedzimy, czekając na pociąg, cztery godziny.

Nakoniec ruszamy i o godzinie 2-giej w nocy wysiadamy w Werchne Udińsku, gdzie Feliks miał do załatwienia różne formalności.

Ciekawe dwa wydarzenia, charakteryzujące miejscowe stosunki administracyjne, zdarzyły się tegodnia. Komisya, o której wspominałem, jadąca dla przyjęcia drogi Mandżurskiej, zaniedbała, czy też nie miała dość czasu, by złożyć wizytę zarządzającemu Zabajkalską drogą w Irkucku. Ten, czując się dotkniętym w swej godności, pod pozorem, że przyczepienie wagonu komisyi zwiększy znacznie ciężar pociągu kuryerskiego, przy którym jest wagon restauracyjny, dał rozporządzenie, aby przyłączono ten wagon do bumelcugu. I komisya, złożona z generałów X. Y. Z., zmuszona będzie przymierać głodem na podłych, syberyjskich stacyach. Bardzo niewesołe biedacy mieli miny.

W Mysowoj spotkała nas gruba nieprzyjemność, bo, pomimo zapewnień komory celnej w Irkucku, komora w Mysowoj nie chciała na strzelby kwitów nam wydać, a gdy pod wpływem naszych gróźb i próśb, urzędnik na napisanie świadectw zaczął się zgadzać, uderzył trzeci dzwonek i nie było już czasu. Wystosowaliśmy tylko sążnisty telegram do p. ministra Wittego, uskarżając się na porządek w zarządzie podległych jemu instytucyi, ale jaki z tego będzie rezultat, nie mamy pojęcia.

W Werchne Udińsku musieliśmy użyć groźby naszych kułaków, łajania i o mało że nie broni, by nam raczono gościnne podwoje jedynego w mieście hotelu, otworzyć i jaki taki pół na podłodze, pół na kanapach nocleg urządzić. Gdyśmy zażądali prześcieradeł i poduszek, służący spojrzał na nas nieprzytomnem okiem i widocznie uważając, że z waryatami nie ma co mówić, zemknął i w taką mysią zaszył się dziurę, żeśmy go więcej znaleźć nie mogli.

C. W.

(D. c. n.)

Stosunki łowieckie we Włoszech.

Osiadły w Pizie, p. Renault, którego zajmujący artykuł o tępieniu ptactwa we Włoszech, podaliśmy przed niedawnym czasem, w następujący sposób informuje czytelników „La Chasse Illustrée“ o opłakanych stosunkach łowieckich kraju, „gdzie cytryny kwitną“.

Wszelkie wiadomości, podane przez gazety sportowe o ostatniem otwarciu polowania, mogą się streścić w tych kilku słowach: bardzo mało przepiórek a jeszcze mniej kuropatw tam, gdzie wogóle można je znaleźć. Słowem, ogólny lament, czemu zresztą nikt dziwić się nie może, gdyż obecne stosunki łowieckie muszą nieodwołalnie doprowadzić do kompletnej zagłady wszelkiej zwierzyny, nie wyłączając nawet drobnych ptasząt owadożernych.

Włochy po trzydziestu latach rządów konstytucyjnych nie zdołały jeszcze ujednostajnić swego prawa łowieckiego i dziś, jak przed laty, stosować się musimy do siedmiu różnych kodeksów, obowiązujących w dawnych siedmiu stanach włoskich, a które zawierają w sobie 64 regulaminy, niepodobne jedne do drugich.

Następujący przykład wyjaśni wam ten chaos. W Toskanii średni czas ochrony zwierzyny (sezon zamknięcia polowania) wynosi 127 dni. W prowincyi Aquila wolno jest polować od 10 sierpnia do 15 maja, czyli, że czas ochrony wynosi 87 dni. W Bari polowanie na ptaki morskie wzbronione jest tylko od 15 kwietnia do 15 czerwca, zatem przez ciąg 61 dni. To samo dzieje się w Catangaro, gdzie polowanie zamyka się tylko przez ciąg czerwca i lipca. W Gosenja czas ochrony trwa tylko przez 56 dni, a w Palermo nie wolno jest polować tylko przez pierwsze 15 dni sierpnia. Najlepiej jednak jest w Polenja, gdzie przez okrągły rok wolno jest polować na ptactwo przelotne, a nawet na kuropatwy z wabikiem!

Mamy więc prowincye, gdzie bez ustanku tępi się połowę gatunków, stanowiących avifaunę włoską, gdyż ornitologowie określają liczbę tutejszych gatunków na 443, z których tylko 207 osiadłych.

Nadto wszystkie te prawa mają pewną słabość dla ptasznictwa i spotyka się w nich artykuły wprost niezrozumiałe.

Tak np. prawo toskańskie pozwala łowić młode jerzyki*), zanim te mogą jeszcze opuścić swe gniazdo, gdy w innym znów artykule otacza te ptaki niezwykłą opieką, zabraniając polować na nie pomiędzy 8 a 20 sierpnia! Szczyt konsekwencyi! Jakież to bowiem jest śmieszne skazywać ptaka na śmierć w pierwszem stadyum jego życia i następnie uważać go za godnego specyalnej ochrony, gdy dojdzie do dojrzałości.

*) Jerzyk, ptak owadożerny, podobny z kształtu do jaskółki.

Ta spóźniona opieka wskazuje, że *Cypselus apus* (jerzyk) jest widocznie ptakiem użytecznym, lecz, na Dyanę! jakżeż można ocenić jego usługi, jeśli się go wyniszcza w młodym wieku?

Nie mam bynajmniej zamiaru wskazywać na różnice, jakie zachodzą pomiędzy siedmioma wspomnianemi ustawami, jakkolwiek cena pozwoleń na prawo polowania jest jedna w całem królestwie; na to potrzebaby napisać całe tomy; na teraz dość będzie tylko wymienić daty ustanowienia praw łowieckich w siedmiu danych stanach, aby zrozumieć potrzebę ujednostajnienia ich w stosunku do nowych warunków politycznych i społecznych. I tak w Piemoncie i Sardynii obowiązujące prawo łowieckie, ogłoszone było w 1836 roku, w Lombardyi i Wenecyi—w 1804, w Parmie—w 1824, w Modenie—w 1815, w Toskanii—w 1856, w Państwie kościelnem—w 1826, w Neapolu i Sycylii—w 1819 roku.

Dziwnem jest, zaiste, dlaczego Włochy współczesne nie mogą się pozbyć rozporządzeń Maryi-Ludwiki, lub edyktów kardynała Galeffi, lecz wszystko to objaśnić sobie można skutkami parlamentaryzmu. Nowe prawo musiałoby położyć kres wszystkim nadużyciom obecnym, a między innemi — rzeziom przepiórek na wiosnę; a panowie deputowani z prowincyi, gdzie te nadużycia są na porządku dziennym, nie życzą sobie, aby naruszano przywileje ich wyborców. Panowie ministrowie znów, nie chcąc narażać na szwank swych portfelów, pozwalają tępić zwierzynę i brak im odwagi, aby wnieść do izby jeden z licznych projektów, mających na celu ujednostajnienie prawa łowieckiego, jak tego wymaga sprawiedliwość, oraz interes ogółu.

Gdybyż to przynajmniej obecne ustawy, mimo swych wad kardynalnych, były obserwowane.

Lecz charakterystyczną stroną naszego kraju jest brak kompletny policyi wiejskiej, z wyjątkiem stróżów w majątkach prywatnych. Cały nadzór spoczywa w rękach żandarmów (*carabinieri*), wyborowych żołnierzy, zależnych od ministeryum wojny; lecz liczne obowiązki, jakich się od nich wymaga, stają im na przeszkodzie do zajmowania się kłusownikami, którzy wszędzie grasują bez najmniejszej przeszkody. I gdy z jednej strony synowie chłopów rabują bezkarnie gniazda, ojcowie używają wszelkich środków do tąpienia zwierzyny, której ostoje doskonale znają. W tym zaś wypadku wyraz *zwierzyna* oznacza wszystko: od sikory do dzikiej kaczki.

Tam, gdzie broń palna milczy, używa się sieci, wnyków, lub lepu. Tępienie przybiera takie rozmiary, o jakich nie daje pojęcia najbujniejsza imaginacya; a jeśli spotyka się jeszcze ptaszęta, to tylko dlatego, że one się lęgą po za granicami Włoch. Poważni myśliwi zrozumieli doskonale, że te nadużycia doprowadzą do zupełnej zagłady ptactwa i od pewnego czasu domagają się środków ochronnych: lecz rząd udaje głuchego, a tymczasem ptaki, szczególniej te drobne, które prawo powinno ochraniać w interesie ogółu, giną milionami. Ten ostatni wyraz zdaje się być przesadą, a jednak określa on ściśle rzeczywistość.

Oprócz strzelania do gołębi, urządzanego mniej więcej wszędzie, bywa tu jeszcze względnie do sezonu, strzelanie do turkawek, do przepiórek, do szpaków. Świeżo czytałem w jednym z wielkich dzienników politycznych, że w październiku odbędzie się w Bergamo strzelanie do zięb! A kiedyż to doczekamy się konkursu strzelania do mysich królików?

A propos strzelania. Powinniście zarekomendować naszym młodym współbraciom w św. Hubercie, obdarzonym dobrem okiem i rzutkością strzału, aby poświęcili się strzelaniu do gołębi, jako zajęciu nadzwyczaj użytecznemu, ale, co ja mówię?—jako karyerze przyjemnej i prowadzącej do odznaczeń—słowem, karyerze *fin de siècle!*

Oto podług gazet sportowych włoskich, niejaki p. Guidicini z Bolonii, którego dobra gwiazda popchnęła do porzucenia przed 25 laty apteki, gdzie był prowizorem, aby poświęcić się sztuce strzelania do gołębi, od owego czasu zdobył: 700 medali, 60 szarf i 400,000 franków, nie licząc całej masy przedmiotów wartościowych i dyplomów, a na dobitkę rząd odznaczył go kawalerskim orderem korony włoskiej.

I w samej rzeczy, trudno jest znaleźć profesyę bardziej idealną, gdyż strzelanie w lot, nie trudząc zbytnio, jest zawsze zajmujące i zabawne. Na przyszłość autorowie i kompilatorowie przewodników do wyszukania pozycyi socyalnej, powinni brać na uwagę ten hałaśliwy nieco środek zdobycia sobie stanowiska w świecie.

LASECZNIK WŚCIEKLIZNY.

Według wiadomości z Medyolanu, na ostatniem posiedzeniu „Societa medico-chirurgica“ w Pavii, D-r Adelchi Negri, asystent profesora Golgi, miał odczyt o rezultatach z dokonanej całej seryi badań nad bakteriologią wścieklizny u psów. Już w marcu tego roku D-r Negri zakomunikował w pismach specyalnych o odkryciu, jakie w kilkunastu wypadkach spostrzegł, dowodząc, że wścieklizna u psów zostaje wywołaną przez specyalny mikroorganizm, t. j. przez tak zwane „protozoa“, które się gnieżdżą w komórkach nerwów. Zapowiedziany odczyt o tak ważnym wynalazku, zainteresował naturalnie bardzo świat naukowy, i licznych miał słuchaczy, a zasadzał się na opisie struktury tego mikroorganizmu i objaśnieniu faz rozwijania się tych drobnoustrojów. D-r Negri studya owe prowadził wytrwale i z zapałem i rezultaty zakomunikował obecnie Towarzystwu lekarskiemu w Pavii. Do przeprowadzenia badań D-r Negri zużył dużą ilość różnych zwierząt, przeważnie zaś psów, które były szczepione wścieklizną, lub takie osobniki, które były pogryzione przez psy ze szczepioną wścieklizną, i uchodziły temsamem za podejrzane o tę chorobę. Dotąd przeszło 100 psów zbadał i przy tak obfitym materyale skonstatował swoje przypuszczenie w odkryciu tego laseczników, znajdując bowiem u wszystkich tych wściekłych psów zawsze ten drobnoustrój w komórkach nerwów. Odkrycie to ma nietylko wysokie znaczenie pod względem naukowym (laseczników tego, powodującego tę chorobę, patolodzy napróżno dotąd od stulecia poszukują), ale i praktycznym, gdyż nastąpiłby przewrót w dotąd praktykowanych sposobach stawiania dyagnozy wścieklizny, naturalnie ku zbawieniu ludzkości. Skoro pies, podejrzany o wściekliznę, pogryzie człowieka, zanim się człowiek podda leczeniu metodą Pasteura, trzeba skonstatować, czy podejrzany pies rzeczywiście był wściekły. Dla postawienia dyagnazy dotąd była jeszcze jedyna metoda, która polegała na zaszczepieniu królikowi cząstki tkaniny psa, podejrzanego o wściekliznę. Jeżeli rzeczywiście tkanki pochodziły z psa wściekłego, królik zdychał we 12 do 18 dni wśród charakterystycznych i łatwo dających się poznać symptomów; przeciwnie zaś po szczepieniu jadu od psa zdrowego, królik pozostawał przy życiu. Ta metoda przedstawia pewne niedogodności, przedewszystkiem wymaga, jak wyżej powiedziano, dłuższego czasu, conajmniej dwóch tygodni, aby można chorobę tę skonstatować i rozpocząć temsamem leczenie pokąsanych osób, a zwłoka taka, szczególnie w bardzo niebezpiecznych wypadkach zarazków, może zupełnie uniemożebnić samo leczenie. Inna jeszcze niedogodność nastręcza się, skoro psy, podejrzane o wściekliznę, zapóźno już zostają przyprowadzone do stacyj doświadczalnych, mianowicie w stadyum psucia się ciała. W tych wypadkach króliki, szczepione od psów, u których rozpoczęła się zgnilizna lub na dobre już była rozwinięta, zdychają wskutek zarazków zgnilizny, zanim charakterystyczne

symptomy wścieklizny miały czas uwydatnić się; w tych wypadkach dyagnoza prawie niemożliwa, i osoby pokąsane muszą poddać się kuracyi, jakkolwiek nie zostało skonstatowanem na pewno, że psy te były rzeczywiście wściekłe. Wszystkie te trudności zniknęłyby więc wskutek odkrycia D-ra Negri, gdyż dyagnozę wścieklizny według wskazówek D-ra Negri możnaby odtąd stawiać tylko na podstawie mikroskopijnego zbadania komórek nerwów psa podejrzanego o tę chorobę; badanie takie wymagałoby zaledwie jeden dzień czasu, i rezultat badania nawet i w tym wypadku byłby pewny, chociażby materyał znajdował się już w stadyum posuniętej zgnilizny. Wielu przyrodników metodę D-ra Negri stosowało już i potwierdziło słuszność jego zapatrywania.

KONKURSY STRZELECKIE.

Rozpoczęte w d. 15 września, konkursy strzeleckie w strzelnicy warszawskiej nie dały dotychczas pomyślnych rezultatów. Współubiegających się jest dotychczas nie wielu, pomimo, że urządzający konkursy, Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa wyznaczył na nagrody w przedmiotach 500 rub. Konkursy trwać będą do 10-go października i wątpić nie można, że przed upływem tego terminu pojawią się strzelcy, którzy nagrody wezmą, niepodobna bowiem przypuszczać, aby pomiędzy naszymi myśliwymi nie było pewnych siebie sportsmenów, którzy nie czuliby się na siłach do wzięcia udziału w tych publicznych popisach. Według naszego przekonania, jest to tylko wyczekiwanie, gra, skierowana ku wyzyskaniu szansy—im mniej bowiem będzie konkurentów i czasu do strzelania, tem łatwiejsze zwycięztwo. Łatwiejsze — tak, bez kwestyi, ale i mniejszy będzie tryumf.

Prawdziwie myśliwskie konkursy, jak strzelanie do ruchomych celów, najmniej dotychczas mają powodzenia. Przypisać to należy tej okoliczności, że znajdujemy się wśród najgorętszego sezonu kuropatwianego, ryku jeleni i najpiękniejszej przyrody, która wabi w pola i do knieci, a nie do strzelnicy. Urok polowania jest bezwarunkowo silniejszy od wszystkich nagród konkursowych. Do ruchomego dzika nie strzelano wcale do chwili, gdy to piszemy. Do ruchomego zająca strzelał p. Ignacy Grzędzica, który pomimo handicapu (na I nagrodę, serya z 15 zajęcy) już swoje zrobił i seryę zajęcy przewrócił. Konkurować jednak z nim mogą strzelcy, którzy, nie otrzymawszy w poprzednich konkursach I lub II nagrody, zrobią seryę z 10 zajęcy. W konkursie tym i do I, i II nagrody dodane będą przedmioty wartościowe. Do rogacza, który ukazuje się na 5 sekund, strzelało dwóch kandydatów, ale tylko p. Stefan Kretkowski zrobił dobrą seryę.

Do stałego celu na 100 metr. próbowano strzelać—ale bez rezultatu.

Natomiast mają powodzenie konkursy pistoletowe. P. Stanisław Wrotnowski strzela, jak zwykle, z powodzeniem, które go i w poprzednim konkursie nie zawiodło. Najwięcej uczestników ma konkurs pistoletowy do manekina na 25 metrów na komendę. Tu już wystrzelano przeszło 80 seryj i rywalizuje z sobą 5 uczestników, a mianowicie pp. St. Hłuszanin, St. Lilpop, Al. Nelken, St. Wrotnowski i Stef. Kretkowski.

Taki jest stan konkursów w chwili obecnej. Pole tych popisów dla naszych strzelców otwarte tylko do 10 b. m.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, d. 16 września. Po załatwieniu drobnych spraw bieżących, których zwykle bardzo wiele uzbiera się na każde dwutygodniowe posiedzenie Rady, a które nie mają szerszego interesu, odczytano odezwę p. gubernatora radomskiego, o wydaniu biletu nowemu stróżowi przy miejscach ochronnych w dobrach Staszowskich, Mazurowi.

Drobiazgi myśliwskie.

Późny łąg jarząbków. Dnia 20 sierpnia r. b. znalazł myśliwy gniazdo jaj jarząbkowych w lesie Arnsberskim w Westfalii. Jarząbka spostrzegł nagle pies, tropiący ranionego kozła, między liśćmi dębowemi. Myśliwy, sądząc, że kura jest chora, schylił się, by ją zatrzymać. Ale ona uciekła, gdy tylko wyciągnął rękę. Okazało się, że siedziała na jajach. W gnieździe były cztery jaja.

O masowem zdychaniu bażantów, o czem pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Łowca Polskiego", dochodzą obecnie nowe szczegóły. Na jednem z pól w Niemczech znaleziono w połowie lipca stado bażantów martwych, złożone z ośmiu sztuk i matki. Zbadano je po znalezieniu i okazało się, że były dobrze zbudowane, tłuste, wole miały próżne, w żołądku odkryto kilka ziarnek żółtych. Weterynarz miejscowy nie mógł określić przyczyny śmierci. Nigdzie też nie zauważono skaleczenia zewnętrznego. O zatruciu się sztucznym nawozem trudno myśleć, ponieważ ostatni raz nawożono pola poblizkie saletrą chilijską przed trzema tygodniami, a przez ten czas padały liczne deszcze, nie zostawiając znaku nawozu. Stary, doświadczony bażanciarz orzekł, że prawdopodobnie ptaki zjadły nasienie jakiej rośliny trującej, jak naprzykład jadowitego szaleju wodnego.—W połowie sierpnia znaleziono na tem samem miejscu dwa bażanty, zdechłe w zagadkowy sposób. Nikt jednak nie mógł również dokładnie określić przyczyny zdychania tych ptaków. Zaniepokojenie w tamtych stronach było tem silniejsze, że ludzie twierdzą, iż w zbożu niesprzątniętem jeszcze, znajduje się więcej ptaków martwych, choć nieokaleczonych.

Młode kaczki. Jak odróżnić młode kaczki od starych? Na pytanie to odpowiada doświadczony myśliwy: Najpewniejszy sposób jest dotykanie dzioba, który u młodych jest miękki, a u starych twardy. Po dziobie odróżnia się także kaczora od kaczki, albowiem on posiada dziób zielonkowaty. Obydwa te znaki są nieomylne.

Sprzedaż zwierzyny sposobem komisowym łatwo się przyjęło w Berlinie, i najlepiej dowodzą cyfry sprzedanej zwierzyny, jakie osiągnęła firma „Andreas" w hali miejskiej. Od 1-go kwietnia 1902 r. do 31-go marca 1903 r. sprzedano: 1560 sztuk jeleni, 458 danieli, 9,900 sarn, 412 dzików, 54,813 zajęcy, 18,792 królików, 35,605 kuropatw, 5,752 bażantów, 8,499 pardw, 1,743 głuszcy i cietrzewi, 6825 jarząbków, 1422 słonek, 1,173 dzikich kaczek, 5,804 kwiczołów. Firma ta na żądanie wysyła darmo producentom kosze do przesyłki, listy frachtowe, adresy, wykłada należności za fracht, cło konsumcyjne, i zadowalnia się 5 procentami od osiągniętych cen. W Wiedniu istnieją też takie przedsiębiorstwa, lecz nie rozwijają się w tym stosunku, jak w Berlinie.

Wypadek w zwierzyńcu. „Gazeta Warszawska" donosi o następującym wstrząsającym wypadku, jaki się zdarzył w Schönbrunn, pod Wiedniem, w oczach zwie-

dzającej zwierzyniec, publiczności. Do żelaznej klatki, gdzie znajdował się wspaniały okaz bawołu, sprowadzonego wraz z innemi jeszcze w roku 1899 z Sunda i nazwanego „Keraban“, wszedł dozorca, 26-letni Ludwik Volkel, dla oczyszczenia stopni, mimo przepisów, wzbraniających takich czynności, dopóki zwierz nie jest przeprowadzony do innej klatki. Żubr ten, od cielęcia wychowany w Schonbrunnie, jakkolwiek wyrósł wspaniale, nie odznaczał się gwałtownością z powodu spasienia, tak, że jeszcze przed kilku dniami, obecny przy jego myciu weterynarz, pozwolił sobie na uwagę: „Ach, gdyby ten zwierz był świadomy swej olbrzymiej siły!“ Niestety, dość prędko miał on złożyć jej dowód. Przy wejściu do klatki prawdopodobnie uderzył dozorca zwierza kijem, poczem w jednem mgnieniu oka rozległ się krzyk rozpaczy, a wkrótce później przejmujący ryk boleści. Rozjuszony zwierz tuż po uderzeniu przybrał groźną postawę i ze schylonym łbem zdążył wprost na dozorcę. Ten, zamiast pogromić go bystro skierowanym mu w oczy, wzrokiem, przerażony, począł cofać się i wspinać na kraty klatki, gdy w tem tur z całą mocą przygniótł go łbem i wsadził mu w krzyże jeden potężny róg tak głęboko, iż przebił nieszczęśliwego na wylot. Tak nadzianego wtłaczał tur z całą mocą w kąt klatki. Daremne były już wszelkie usiłowania ratunku, z jakim pospieszyli inni dozorcy. Zwłoki, już z wyprótym brzuchem, tratował niemiłosiernie zwierz rozjuszony, tak, że wszystkie wnętrzności wyszły nazewnątrz. Siła pierwszego uderzenia była tak gwałtowną, że szyna żelazna klatki wygięła się w kabląk. Dyszący pianą zwierz, odstąpił wreszcie od ofiary i obojętnie patrzył, jak trzej dozorcy weszli do klatki, by zabrać zwłoki nieszczęśliwego. Po południu dał sobie tur również spokojnie obmyć łeb i rogi z krwi i resztek przyschniętych wnętrzności, a tak samo spokojnie, jakby po wyładowaniu nagromadzonej nad miarę, siły, zachował się wieczorem i dnia następnego, kiedy zwiedzali Schonbrunn arcyksiężna Marya Walerya i arcyks. Franciszek Salvator. Nieszczęśliwy dozorca był zaledwie od listopada na służbie przy zwierzyńcu i zasługiwał na uznanie przełożonych. Cesarz zarządził pogrzeb ofiary kosztem własnej szkatuły.

Kronika Myśliwska.

Trzech członków kółka młochowskiego polowało na kuropatwy z naganką d. 21 b. m. w rewirze Rusiec-Zaborów w dobrach Młochowskich pod Warszawą. Zabito: 98 kuropatw, 3 bażanty, 1 rogacza i 1 lisa. Razem 103 sztuki. Myśliwi mieli po 2 strzelby. Królem polowania był p. Stanisław Lilpop, mając na rozkładzie 24 kuropatwy.

W dniu 12 września 8-iu członków kółka Maleszewskiego polowało na Żyrowic, w pow. grójeckim. Polowano z psami i zabito 126 kuropatw i innego ptactwa. Stada były zupełnie normalne, a kuropatwy prawidłowo wyrośnięte. Tylko jedno stado składało się z małych (widlaków), pochodzących widocznie z drugiego spóźnionego lęgu.

W d. 22, 23 i 24 września odbyło się polowanie z naganką na kuropatwy w Willanowie hr. Ksawerego Branickiego. W 6 strzelb zabito: 286 kuropatw, 8 bażantów i 3 jastrzębie. Razem 297 sztuk.

Wykazy Myśliwskie.

W dobrach międzyrzeckich w ciągu 1902/3 roku ubito szkodników:

Lisów starych	43	Jastrzębi	252
„ młodych	39	Czapli	78
Kun	4	Kruków	39
Psów	151	Wron	796
Kotów	69	Srok	29
Wiewiórek	313	Sójek	123
		Razem	1936

Wykaz ubitej zwierzyny w dobrach Szepetowieckich i Antonińskich od 1-go Lipca 1893 r. do 1-go Lipca 1903 r.

Zwierzyna Pożyteczna (sztuk)

Rok	Dziki: Pojedynki	Dziki: Wycinki	Dziki: Lochy	Dziki: Przelatki	Dziki: Warchlaki	Dziki: Razem	Rogacze	Zające	Głuszce	Cietrzewie	Jarząbki	Bażanty	Dropie	Kulony etc.	Kuropatwy	Przepiórki	Chruściele	Słonki	Dubelty	Kszyki	Gęsi	Kaczki	Kurki	Razem
1893/4	1	1	1	—	5	8	—	8	—	—	—	11	—	2	1	142	5	13	—	25	—	—	—	215
1894/5	13	15	14	2	17	61	74	108	2	—	—	70	—	4	—	321	—	18	5	49	—	54	—	766
1895/6	—	—	—	—	—	—	23	85	—	—	—	140	1	4	4	201	6	82	5	64	—	6	2	623
1896/7	7	15	19	4	47	92	113	169	2	1	5	409	—	13	15	211	9	87	6	37	—	20	5	1194
1897/8	2	4	1	1	3	11	14	72	—	—	6	362	—	—	—	26	16	166	34	59	—	66	4	836
1898/9	15	19	10	9	27	80	121	157	—	—	7	392	1	5	35	107	21	29	19	146	—	85	1	1206
1899/900	—	—	—	—	—	—	8	104	—	—	—	288	—	2	39	63	22	84	6	162	—	45	—	823
1900/901	9	5	8	—	8	30	45	331	—	—	—	505	—	—	90	141	24	197	89	153	—	61	2	1668
1901/2	24	9	24	11	22	90	78	384	—	2	20	1150	—	—	187	99	18	240	99	95	—	51	—	2513
1902/3	—	—	—	—	—	—	48	179	—	1	4	1127	2	5	245	341	46	80	6	45	7	138	3	2295
Ogółem	71	68	77	27	129	372	524	1615	4	4	42	4454	4	35	616	1652	167	996	269	835	7	526	17	12139

Zwierzyna Drapieżna (sztuk)

Rok	Wilki	Lisy	Borsuki	Kuny	Tchórze	Łasice	Wydry	Psy	Koty	Orły	Puhacze	Jastrzębie: Kuropatwiarze	Jastrzębie: Duże	Jastrzębie: Małe	Sowy	Kruki	Wrony	Sroki	Razem
1893/4	2	36	3	4	25	18	—	94	49	2	1	4	152	12	167	12	212	—	793
1894/5	8	75	8	6	26	98	—	86	13	3	—	85	219	28	162	13	141	18	989
1895/6	1	50	—	8	15	27	—	137	26	5	—	51	185	34	100	7	181	—	827
1896/7	—	41	6	5	11	2	—	106	22	2	—	44	159	39	101	2	129	5	674
1897/8	—	61	13	13	1	5	—	143	8	1	—	50	212	114	313	17	286	—	1237
1898/9	2	39	6	7	29	9	—	150	18	3	1	30	253	68	242	38	245	2	1142
1899/900	—	69	11	7	15	38	—	140	10	—	—	6	171	72	134	47	101	28	849
1900/901	1	87	9	5	22	17	—	126	6	5	—	26	199	38	121	47	196	49	954
1901/2	—	54	3	4	21	26	—	148	13	15	1	60	153	70	171	29	312	32	1112
1902/3	—	54	6	5	15	75	—	198	39	8	1	47	185	80	198	24	278	90	1303
Ogółem	14	566	65	64	180	311	—	1213	200	44	4	403	1888	555	1709	236	2081	224	9757

Treść Nr 17 „Łowca Polskiego".

Z tegorocznych polowań *Czułajewski.* — Solidarność zwierząt. — Prochy małodymne *Władysław Słonczyński* (ciąg dalszy). — Zapasanie się psów i sposoby obchudzania *S. K.* — Wyprawa myśliwska do Mongolii *C. IV.* (dalszy ciąg.) — Stosunki łowieckie we Włoszech. — Lasecznik wścieklizny. — Konkursy strzeleckie. — Z Towarzystwa prawidłowego Myślistwa. — Drobiazgi Myśliwskie: (Późny ląg jarząbków.) (O masowem zdychaniu bażantów.) (Młode kaczki.) (Sprzedaż zwierzyny sposobem komisowym) (Wypadek w zwierzyńcu). — Kronika Myśliwska. — Wykazy Myśliwskie.

W feljetonie: Na rojstach litewskich. (Ciąg dalszy).

Ilustracye: Na ryku.

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.